

F. ANTONI OSSENDOWSKI



KOSMACZ

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA - POZNAŃ

70

ZE SZPARGAŁÓW
przyrodniczo-rolniczych
Władysława Czarnowskiego

2661075

F. ANTONI OSSENDOWSKI

Witold Giza

KOSMACZ



ILUSTRACJE TADEUSZA LIPSKIEGO

WYDAWNICTWO POLSKIE
R. WEGNERA • POZNAŃ

PRINTED IN POLAND



KOSMACZ

Piękna jest i zawsze piękną była Puszcza Białowieska. Olbrzymie drzewa, mające po pięćset lat, z radością, zdawało się, patrzyły na swoje dzieci — starsze i młodsze świerki, sosny, dęby, buki, graby i brzozy, a te znów na gęsty, gdzieś niegdzie nieprzebyty gąszcz krzaków i porośli iglastej i liściastej.

W niedostępnych haszczach i na ukrytych przed oczami ludzi polanach pasły się losie, jelenie, sarny i dziki, w kniei najciemniejszej czaiły się żbiki, rysie, lisy, a nieraz nawet niedźwiedź zakładał sobie barłóg na zimę. Po skraju puszczy świeciły ślepiami zawsze głodne i drapieżne wilki. Wśród konarów drzew i na puszystych bagniskach żerowały guszcze, cietrzewie i jarząbki; w sitowiu na jeziorkach leśnych tkwiły, czatując na zdobycz, czarne bociany i szare czaple, pluskały się dzikie kaczki, chwytając ryby, jęczały czajki, beczały kszyki i piszczały kuliki.

Dumą Puszczy były przedewszystkiem jednak potężne żubry.

Spokojnie i dostatnio żyły w gęstwinie puszczańskiej, strzeżone pilnie przez gajowych i leśniczych. To też nie bały się one ludzi i gdy wieśniacy jechali w wozach drabiniastych po drogach leśnych, ogromne byki i krowy przyglądały im się z ufnością.





I raptem nastąpiły straszne czasy. Wybuchła wojna. Do Puszczy wdarły się wojska niemieckie. Ryczeć poczęły armaty. Pociski pękały wśród drzew, druzgocząc ich piony, odrywając konary i zapalając żywicą nasiąkłe świerki i sosny. Pożary leśne pożerały setki hektarów starego i pięknego lasu. W innym miejscu żołnierze wyrąbywali najlepsze drzewa w Puszczy, aby przerobić zdrowe świerki i dęby na belki, deski i podkłady i wywieźć je do Niemiec.

Strach padł na mieszkańców leśnych. Odleciało ptactwo, przerażone hukami strzałów i wybuchami granatów. Rozpierzchły się na wszystkie strony łosie, jelenie, sarny i dziki, wystraszone łunami, niemilkącym stukiem siekier, krzykami walczących żołnierzy i łoskotem maszyn w tartakach.

Na swoich pastwiskach pozostały

tylko żubry. Przyzwyczajone do ludzi, pasły się spokojnie w Puszczy i uciekały tylko wtedy, kiedy zaczynały padać pociski i palić się lasy. Ale i na żubry przyszła czarna godzina. Niemcy zaczęli strzelać do nich i zabijać, aby zdobyć sobie pożywienie.

Stary żubr — Grzywacz — zwięszywszy niebezpieczeństwo, odnalazł w haszczach zaszytą żonę i, z chrapnięciem wciągnawszy powietrze, mruknął do niej trwoźnie:

— Złe jest, matko! Dawniej ludzie oszczędzali nas, a teraz już drugi miesiąc strzelają do nas bez przerwy. Mówiła mi wczoraj jednooka Kuternoga, że zabito Prychacza i Ryka, chociaż cwaniaki to były nielada i żadnemu nie dały się nigdy kłusownikowi. Złe z nami!...

— Cóż będziemy robić? — spytała z niepokojem żubrzyca i ogonem smagnęła się po bokach.

Grzywacz, opuściwszy łeb, ponuro patrzył w ziemię i milczał. Nie czuł nawet, że go obsiadły baki i cięły mu grubą skórę na brzuchu.

— Musisz coś obmyśleć! — chrapnęła znów żubrzyca. — Nasz synek Kosmacz tak pięknie się hoduje. Czyż pozwolisz na to, aby go zabito?

Zubrowi aż kądziel zjeżyła się na potężnym karku, a krew napłynęła do oczu. Parsknął groźnie i przednimi racicami jął wyrzucać grudki ziemi i szmaty mchu. Wreszcie mruknął:





— Musimy uchodzić z naszej puszczy!

Nie zwlekając ani godziny, ruszyły żubry na tułaczkę. Choć były to olbrzymie zwierzęta, jednak potrafiły przekradać się pomiędzy oddziałami żołnierzy i uchodzić coraz to dalej i dalej na wschód.

Młody byczek — żubrzątko Kosmacz rozumiał już, że dzieje się coś niezmiernie ważnego. Posłusznie więc dreptał za matką, ani na krok nie odchodząc od niej, nie dokazywał i sprawował się cicho, cichutko.

Tak przedzierając się i kryjąc, żubry po roku natrafiły wreszcie na duży gęsty las. Rosły tam sosny, świerki, brzozy i osiki — pod nimi zaś prawie takie same krzaki, jakie stary byk i jego żona знаły z Puszczy Białowieskiej. Zato zupełnie inne, niewidziane dawniej przez żubry trawy okrywały leśne polany. Grzywacz przeżuwając je ostrożnie, zamruczał do żony:

— Uf... uf... nie takie to dobre, jak to u nas bywało, ale od biedy jeść można! Zresztą nie zbraknie nam tu młodych pędów drzew...

Pozostały więc żubry w obcej im puszczy, którą przecinała zimna Dźwina północna. Wywalczyły dla siebie znaczny obszar lasów, wy-





parłszy z nich łosie o szerokich rogach łopaciastych, i cieszyły się, widząc, jak szybko rośnie i mężnieje Kosmacz. Bo i na dzielnego istotnie rósł on byczka! Pewnego razu, ujrawszy łosia, który nie zamierzał ustąpić mu z drogi, bez namysłu pochylił łeb i popędził ku niemu. Zręcznie wywinawszy się tuż przed nadstawionymi rogami, z rozmachem uderzył przeciwnika w bok, że aż coś w nim jętko we środku, a, podsadziwszy mu łeb pod brzuch, podrzucił go, obalił i zaczął tratować. Gdy łoś, zerwawszy się z ziemi, zemknął, Kosmacz nie ścigał już tchórza. Stał z opuszczonym łbem, bił się ogonem po bokach i sapał groźnie.

— Wiesz, matko, że nasz synek zwinny jest, jak ty w młodości, a z siły podobny do mego dziada Groma, który sam na sam z największymi walczył niedźwiedziami!

Powiedziawszy to, Grzywacz błysnął ślepiami i z zadowolenia chrapnął głośno. Żubrzyca odpowiedziała mu łagodnym prychnieniem:

— Pff... pff!



BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA
w Toruniu

Kiedyś, w południe gdy żubry stały w gąszczu wysokich krzaków, zwięszyło je pasące się pod lasem stado i otoczyło ich legowiska. Jakiś ciekawy, płowy buhaj, roztrącając krzaki, począł się zbliżać do przybyszów, lecz z haszczy wypadł natychmiast Grzywacz i runął na natręta. Skłuwszy go rogami, zwałił z nóg i stratował na śmierć, a potem na cztery wiatry rozpędził całe stado. Pomagał mu w tym ochoczo zwinny Kosmacz. Młode byki i krowy uciekły, porządnie oberwawszy od rozgniewanych żubrów.



Grzywacz przeczuwał, że po tej awanturze ludzie wytropią je, więc, niedługo myśląc, uprowadził rodzinę dalej na wschód. Ciężka to była i niebezpieczna droga.

Las stał się rzadszy i niższy. Coraz częściej spotykały żubry rozległe bagniska, porośnięte wysoką trawą i nikłymi brzoškami i łozami. Przechodząc przez torfowisko, idąca na uboczu żubrzyca wpadła do topieli. Próżno szamotała się, usiłując znaleźć oparcie dla racic. Ciężkie zwierzę pograżało się coraz głębiej, aż w końcu znikło w czarnym, cuchnącym zgnilizną bagnie. Grzywacz, kazawszy Kosmaczowi zacząć się w krzakach, rosnących na dużej kępie, wyruszył na poszukiwanie żony.

Przez dwa dni czekał na niego Kosmacz, aż trzeciego o brzasku posłyszal kilka strzałów, zdaleka dobiegające krzyki ludzi i ujadanie psów.



Młody byczek nie wiedział, że myśliwi zastrzelili starego żubra, nie wiedział też, jaki los spotkał matkę, bo nigdy już nie ujrzał rodziców. Zrozumiał jednak, że pozostał samotny na świecie i, chociaż młody jeszcze i niedoświadczony, musiał odtąd sam sobie radzić. Postanowił być przede wszystkim ostrożnym i czujnym.



Nauczył się znakomicie czaić w niedostępnych haszczach. Wychodził z nich na łąki, dopiero dobrze powęszywszy dokoła, a, pasąc się, ciągle rozdymał chrapy i nadsluchiwał. Kosmacz dobrze poznał las i wszystkie w nim przesmyki, ścieżki, suche łożyska potoków, rowy i wykroty. Spróbował nawet wychodzić na bagnisko, ale zrozumiał, że jest to miejsce niebezpieczne, gdzie nie mógłby biec, gdyż racice przerywały powłokę torfu i zapadały się głęboko.

Kosmacz zachowywał się tak cicho, że nikt nie podejrzewał nawet, iż w gęstwinie zarośli olszowej i w krzakach osiki czai się młody żubr.

Tak minął jeszcze rok. Kosmacz odpasł się znakomicie, urósł i zmężniał. Kark i boki okryły mu się obfitą, brunatną kądzielą, na końcu ogona widniała kita z twardego czarnego włosia, krótkie i mocne rogi stały się twarde, jak stal.

Wyszedłszy pewnego razu na polanę, gdzie pasł się zwykle, swoim zwyczajem nadsluchiwał długo i ze świstem wciągał powietrze chra-



pami. Jakiś nieznany mu drażniący zapach doniósł lekki wietrzyk, dmący zwykle przed świtem. Stał więc, opuściwszy łeb i coraz to szybciej poruszał chrapami. Nagle z gęstwiny wytoczył się do czarnego głazu podobny niedźwiedź i popędził wprost ku niemu.

— A to co za poczwara? — zapytał siebie Kosmacz i, wparłszy tylne nogi w ziemię, nadstawił rogów.

Niedźwiedź, a był to stary bandyta, majster od porywania krów, rozpędziwszy się dobrze, skoczył żubrowi na grzbiet i już łapę wyciągnął, by złapać byka za łeb, gdy Kosmacz szarpnął się, otrząsnął i, zrzuciwszy napastnika, w jednej chwili wziął go na rogi i cisnął w powietrze. Niedźwiedź z rykiem spadł na ziemię, lecz po chwili stanął na tylnych łapach. Kosmacz nie czekał nowego napadu. Podbiegłszy ku niedźwiedziowi, wbił mu rogi w pierś i przycisnął go do drzewa. Stał długo, nie puszczając wroga. Dopiero, gdy poczuł, że niedźwiedź nie żyje, cofnął się i już leżącego uderzył dwa razy rogami i potratował.

Bolał go zraniony kark, lecz duma i radość zagłuszyły cierpienia. Wyprostował się, wyciągnął szyję i zaryczał głucho:

— Ja — Kosmacz, syn Grzywacza — zwyciężyłem!

Wiedział już, że stał się dorosłym żubrem, zupełnie dorosłym.

Od chwili tej wielkiej dumy, wielka też troska spadła na Kosmacza. Żarła go tęsknota. Dręczyła w dzień i w nocy nawet. Pasąc się w wysokiej, soczystej trawie, opuszczał nagle łeb rogaty i stał smutny, nieruchomy. W nocy budził się nagle i wstawał, bo wydawało mu się, że słyszy głuchy ryk żubrów, wołających zdaleka:

— Kosmaczu, dzielny Kosmaczu, przybywaj, przybywaj!

Wiatr donosił jakieś pomruki i szmery, jakieś cudne zapachy traw i kwiatów, słuch pochwytywał plusk rzeki i śpiew ptaków, których młody żubr nie słyszał tu nigdy.

Trwało to długo. Kosmaczowi zdawało się, że wieki całe minęły. Niezrozumiała a coraz ostrzejsza tęsknota dręczyła go nieznośnie. Wreszcie pewnej nocy, węsząc pilnie i słuchając czujnie, ruszył ku zachodowi. Coś, czego nie słyszał i nie widział, prowadziło go. Gdy tęsknota ścisnąć poczyniała jego serce, porykiwał głucho.

Ryk ten posłyszał człowiek, idący przez las. Cicho skradając się pod





wiatr, wypatrzył zdaleka żubra i poznał to rzadkie zwierzę, poszukiwane do ogrodów zoologicznych. Postanowił schwycić go i sprzedać.

W kilka dni potem, Kosmacza, leżącego w gęstwinie, wypłoszyły psy. Wskoczył z krzaków i pomknął przed siebie. Nagle ziemia urwała mu się pod nogami i wpadł do głębokiego dołu. To podstępny człowiek wykopał go i przykrył gałęziami i darnią.



Wydobyto go z pułapki i związanego odstawiono do Zoo. Umieszczono go tam w zagrodzie z grubych belek, a ludzie oglądali piękne zwierzę i podziwiali jego kark potężny, obfitą kądziel i zawsze groźne oczy.

Dozorcy mieli ciągle kłopoty ze schwytanym żubrem. Nie chciał przyzwyczać się do nich, a gdy wchodzili do zagrody, by mu dać paszę i posypać piaskiem stratowaną ziemię, z rykiem sunął ku nim i ogonem smagał się po bokach, nieposkromiony, gotowy do walki.

— Jakież to niegrzeczne zwierzę! — mówiły dzieci, przyglądając się ponuremu, stale złemu bykowi. Nie mówiłyby tego zapewne, gdyby wiedziały, jak bardzo tęsknił Kosmacz do wolności i rodzimej Puszczy. Dwa lata przebył żubr w niewoli, ale pewnego dnia przyjechali jacyś panowie i kupili go.

Dozorcy zapędzili żubra do klatki, a panowie kazali załadować ją na platformę kolejową i wyprawić do Białowieży.

Zmęczonego drogą, głodnego i wściekłego z rozpaczy Kosmacza puszczonego do Zwierzyńca w Parku Narodowym. Po długiej włości i przygodach powrócił do Puszczy Białowieskiej. W ojczyźnie poczuł się od razu szczęśliwym i spokojnym. Zdawało mu się, że znał każdy tu zakątek i każde drzewo. Znalazł tam niebawem stado innych żubrów i żubrzc. Razem z nimi pasie się teraz spokojnie. Polubił dobrych ludzi, którzy dopomogli mu powrócić do ojczyzny. Łagodnie porykuje na widok swoich dozorców i nigdy na nich się nie gniewa.

Kosmacz przypomina sobie czasami rodziców, bo o dawnym życiu wybitych i wymarłych żubrów opowiadają mu swym poszumem korony świerków, szepcą dęby i graby cichym szelestem listowia.



Biblioteka Główna UMK



300050834897

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1357561